Rok IV.

Nr. 32. Nr. 32.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 8 sierpnia 1874.

Księgarnia K. Rejzner (Chotomski) ulica Wodna Nr. 15, na rogu Wielkich Garbar.

TREŚĆ: Obecna chwila. — Rodzina węglarza przez W. I. B. (Ciąg dalszy.) — Tajemnicza szkatułka. Powieść osnuta na prawdziwém zdarzeniu przez E. z Kurowskich Puffke. (Ciąg dalszy.) — Świadectwa służbowe obywatelom.

Obecna chwila.

Z powodu moralnego upadku jest i upadek materjalny, — bo jaki czyn — taka myśl, i odwrotnie: jaka myśl — taki czyn.

Z natury rzeczy wypada, że my oparci na zasadach, na myśli ewangelji: czyń to, co chcesz ażeby i tobie czyniono, — mamy po swéj stronie ludzi myślących i moralnych, — a przeciw sobie ludzi albo bezmyślnych, albo niemoralnych, t. j. czyniących inaczéj innym, niżeliby chcieli ażeby im czyniono.

Walka którąśmy podjęli jest na pozór z naszéj strony śmieszną, — bo jak nam zarzucają, pozorowo słusznie, „rzucamy się z motyką na słońce.“

Ani tych, których pod sąd Opinji publicznéj stawiamy, nie uznajemy za słońca, — ani prawd, w których interesie stawamy, nie cenimy tak mało, ażeby je za „motyki“ uważać; jak i odstęp pomiędzy nimi a nami nie jest nieprzystępny, owszém bardzo blizki.

Wiarą naszą, że prawdy ewangelji są prawami rządzącemi społeczeństwem ludzkiém, a nie przemijający interes czy to pieniężny, czy umysłowy — czujemy się, jakkolwiek ze słabemi środkami materjalnemi czyli pieniężnemi, nieskończenie silniejszymi od naszych przeciwników i pewni zwycięztwa nie dziś to jutro.

Celem naszym jest: przekształcić pojęcia panujące sobkostwa i wiary w interes osobisty, w siłę intrygi lub podstępu dziś większą niż w siłę i prawa Boga.

Uważamy, że nasza prasa dla tego, że zaniedbała się pod względem przestrzegania praw Chrystusowych — stała się szkodliwą. Reformę w téj mierze podjęliśmy co do prasy szczegółowo, i że środek badania materjału, t. j. examinowania charakteru i czynności tych, którzy nam stoją na czele, uważaliśmy za najskuteczniejszy, a dotąd nie używany, — przez to jako nowator, jako łamiący lody starego trybu postępowania, — ulegamy zwykłym w téj mierze gadaninom i krytykom.

Co kto mówi o naszém występywaniu, — to nam zupełnie obojętném; chodzi nam tylko o to, żeby mówiono.

Czy mamy słuszność zaczepiać ludzi dotąd szanowanych powszechnie? Mamy — bo oni nie szli drogą moralności, — a że nią doszli do znaczenia w społeczności, — to właśnie chcemy wykazać, że to znaczenie im się dla tego nie przynależy, że nie jest zasłużone, że nie wypływa ze czci, ale i z interesu tych, którzy tym ludziom zchlebiają.

Nie rzucimy się na cześć takich Cieszkowskich, Libeltów, Żupańskich Bentkowskich, — pominiemy nawet ludzi złych, skoro prywatnie działają źle, — a policja lub sąd ukarać ich potrafi, — ale tam gdzie sąd i policja uniewinnić musi, to my powinniśmy ich ukarać postawieniem pod pręgierz Opinji publicznéj — jako redaktor, jako organ — uczciwych ludzi. Nie ma u nas pisma szczególnie poświęconego moralności. Wyśmiewają tę część wiedzy (Wissenschaft, scientia), tę naukę, jako nie należącą do pisma naukowego. Jest to fortel, polegający na grze wyrazów, — biorący „uczoność“ za „naukowość“, — „uczony“ za „naukowy.“

Tygodnik Wielkopolski nigdy nie był i nie jest pismem dla uczonych, — bo ci mają xiążki, dzieła gruntownie umiejętności rozświecające, — gdy nasze pismo tylko na dzieła takie zwracać może uwagę, ale nigdy nie może rozbierać umiejętnie saméj nauki ogółowo, zasadniczo; ale urywkowo, stósownie do okoliczności.

Otóż teraz jest właśnie pora zwracać uwagę na moralność jako naukę na jéj zaniedbanie i na ztąd wynikające szkody lub niedogodności. Moralność jako nauka

jest najważniejszą z nauk społecznych, raz dla tego, że jasne stawia zasady do rozróżniania dobrego od złego, prawości od nieprawości w celu, ażebyśmy wolę naszą zawsze ku dobremu, ku prawości kierowali i jest nauką zastósowania zasad religji jakichkolwiek do życia społecznego, a z drugiéj strony ta nauka uczy nas zastósowywać zasady filozofji do tegoż celu.

W obecnéj chwili prąd realizmu materjalnego interesu oszołomunił Europę, a mianowicie zwykle z moralności słynących Niemców. Gdy taki Mädler śmiał powiedzieć, że on w astronomji nigdy nie czuł potrzeby przypuszczenia istnienia Boga; gdy taki Vierchow oświadcza, że dziś już nie zasady chrześcijanizmu, ale naturalizm ma stać się podstawą nauk szkólnych, — w takiéj chwili zdawało się nam nieskończenie ważném ażeby podnieść w piśmie naukowém właśnie naukę moralności i dać inny kierunek dotychczasowego zastósowywania jéj do życia.

Niech na nas biją, — my krwią i słowem, poświęceniem się i wszystkiemi środkami łamiemy lody z wiarą w zwycięztwo, — choć wiemy, że osobiście dziś tylko znój i niebezpieczeństwo nam przypadnie — i w tém upatrujemy całą naszą osobistą nagrodę. Dla nas teraźniejszości nie ma, — bo całą siłą patrzymy w przyszłość.

Jak Rejtana uważali współcześni za warjata, — jak każdego co nie idzie ubitą drogą — szykanują i prześladują, — tak i dla nas nie może być wyjątku.

Możeśmy się wzięli do rzeczy nieudolnie, niezręcznie, nieumiejętnie, najgłupiéj w świecie, — na to przystaniemy, — ale i to wiemy, że po nas ktoś inny rzecz tę samą podejmie lepiéj, skuteczniéj.

Dziś całym naszym celem jest: Zwrócić uwagę publiczności na te środki badania materjału: śledzenia ludzi mających stać u steru, wytykanie im publicznie ich błędów i wad, bez względu na materjalny interes, ale ze względu na moralność, na prawa przyrodnicze i obyczajność.

Tego dotąd nawet xięża z ambon nie mogli czynić, — bo im nie było wolno wymieniać nazwisk. Z tego umieli ludzie bezczelni, niesumienni korzystać. Wyrwijmyż im i ten środek.

Zestrachani albo dobrowolnie ustąpią, — albo się ich zrzucić musi ze stanowisk sztucznie zajętych, — ogałacając ich z honorów podstępnie uchwyconych.

Że byli gorsi od tych, których dotąd zaczepiliśmy, nie wątpimy, — że tych zaczepiliśmy — bo nie ma dziś innych, — a ci są jeżeli nie źli, to najniezawodniéj nie dobrzy, niewłaściwi do przodowania nam, — bo nie szli do zajętych dziś stanowisk drogą moralności, ale drogą interesu osobistego, nie mieli dobra ogółu na celu, ale własny interes.

Że im się udało stanąć na świecznikach, — to właśnie dowodem upadku naszego, — a upadek ten nastąpił w skutek tego, że nie panują dziś u nas moralność i Opinja publiczna, ale sobkostwo, które po zwierzęcemu pozwala zabierać mienie słabszego silniejszemu, — oszukać prawego nieprawemu, — zafukać ludzi delikatniejszego sposobu postępowania — brutalnym. Powodzenie takich bohatyrów sobkostwa nad ludźmi moralnymi oślepiło wielu — i tacy stanęli wzorem dla słabych umysłowo.

A że dziś pomiędzy młodzieżą wielu drwi sobie z nauk, bo prof. Dr. Szafarkiewicz porzucił naukowość, żeby stać się majętnym, a taki p. Plewkiewicz, dzieciuch z niższych klas szkólnych został bankierem i od razu prawie majętnym, — przeto na własne uszy przez lat dwa nasłuchaliśmy się pomiędzy młodzieżą zasad: „nauka na nic się nie przyda“, — „mniejsza o to jak — byle się zbogacić“, — „toć pp. A. B. C. są nieuczciwi, a jednak ich szanują, — bo mają pieniądze“ i t. p. mądrości sobkostwa.

Temu wypowiadamy wojnę. Na szczęście nasze upadli na czci tacy też „bardzo szanowani“ pp. Plater, Plewkiewicz, Śniechota i t. d. Zostali nam z koryfeuszów niemniéj winni od wymienionych, ale szczęśliwsi albo ostrożniejsi, bo jeszcze ani sąd, ani prokuratorja nie złapali ich, — ale dla nas właśnie się oni kwalifikują, — i wolemy, albo ich uczynić lepszymi, albo niemożliwymi, nie czekając — czego broń Boże — ażby prawo ich miało bądźto przez wypadek jaki, lub przez skutek stawiać w rzędzie: Plewkiewiczów, Platerów lub Śniechot, — a stoją na stanowiskach arcy-śliskich finansowych.

Nam właśnie idzie o to, ażeby jawną uczynić prawdę zasad moralności. Nikt nie poważył się zaczepiać ś. p. Cegielskiego albo Liszkowskiego, A. Pfitznera i t. p. o to, że zrobili majątek, owszém aż zanadto chlubimy się tém. Co chwilę słyszeliśmy sarkazmy na pp. Szafarkiewicza, Łyskowskiego, Fajansa i t. p. Zaczepiamy ich nie przez zazdrość dla majątku, bo nie zrzekalibyśmy się spadku dziedzicznego po stryju na korzyść brata, gdyby nam o majątek chodziło.

Nie zaczepiamy p. Dobrowolskiego ze zazdrości, — boć on nie jest majętnym, a jest jak i my — redaktorem i to pisma, którego redagować nie mamy ambicji, bo nam Tygodnik zupełnie wystarcza. Zaczepiamy go dla tego, że niemoralnie sobie postąpił w sprawie budowy teatru, że intrygami przytłumia ludzi, którzy mu mogą być wyżsi, pochlebstwem skarbi sobie łaski możnych i wpływowych, a ograniczoną bardzo wiedzą ani nie umie ogarniać stósunków naszych, ani dla braku charakteru moralnego — godnie reprezentować obywatelstwa, stojąc na czele jego instytucji.

Obecna chwila wymaga ludzi o tyle tęższych, o ile opłakańsze są nasze stósunki, o ile my na duchu upadamy, o ile się nasze stósunki zmieniają.

Głos nasz tedy — chociażby „najnieparlamentarniejszy“, — jest dziś najużyteczniejszym, — bo stoimy na progu gwałtownego przewrotu naszych społecznych stosunków, — a nie mamy przodowników ani godnych nas, ani odpowiednich stosunkom.

Niechby sąd honorowy obywatelski, licznie zebrany z ludzi zaufania — podjął się położyć koniec naszym zaczepkom, — to się zwrócimy w inną stronę. Sejmik taki, złożony z ludzi zacnych, powszechnie i słusznie szanowanych, może wyłoni i takiego męża, który zdoła połączyć i dla innych spraw dotąd rozdzielonych na stronnictwa. Taki areopag moralny jest nam dziś koniecznie potrzebny i niezbędny. Niechby nasza sprawa mu posłużyła za jądro, bo nie ustaniemy w téj walce, dopóki nie będzie wyroku: Opinji publicznéj, a tę dzierżą wzorowe stadła, wzorowi sąsiedzi, wzorowi obywatele.

Niechby pp. Zawisza, Ślaski, Koczorowski, Milewski, Wierzbiński i t. p., — którym tyle zależy na utrzymaniu przy czci oddanych przez nas pod sąd Opinji publicznéj, — zajęli się zaraz po żniwach takim moralnym sejmikiem, i taki sejmik gdy zawyrokuje — uznamy jego wyrok. Sądowe prawne sądy nas nie zagłuszą, — bo te nie wyrokują o czci obywatelskiéj.

Wł. hr. Chotomski.

Rodzina węglarza,

przez **W. I. B.**

(Ciąg dalszy).

V.

— Niekiedy Stasiek powracał do chaty,
A wtedy w chacie świąteczny dzień bywał;
Chłopiec z Jagodą śpiewał i wygrywał,
Albo ją sadzał pomiędzy grzędami
Lilji — nad wszystko przenosił te kwiaty —
A sam się w cieniu topoli sadowił
I twarz dziewczyny rysował farbami.
Niekiedy czytał, lub z pamięci mówił,
Nieznanym głosem, dziwnemi słowami.
A gdy mąż skończył swe roboty w lesie
I ja zebrałam plony mego żniwa,
Bywało — Stasiek do chaty przybywa,
Jak ptak, gdy wróżbę wesela przyniesie.
Mąż siadał w przyźbie, ja z dzieckiem na łonie,
Chłopiec z Jagodą rękoma spleceni,
A dalej — kwiatki na czarnym zagonie,
Lipa się mroczy, murawa zieleni,
Synogarlica swą dziatwę zwołuje,
Pająk po krzakach pajęczynę snuje,
A jam słuchając młodych gadaniny,
Snuła marzenia w méj matczynéj dumie
Po krasie dziewki, po chłopca rozumie.
  Dziwnie jest dumne, choć dumne bez winy
Serce matczyne, gdy je miłość mroczy;
Mgła jako bielmo siada jéj na oczy,
Przez mgłę tę patrzy, nic bez niéj nie widzi,
Z swym bólem igra, z swoich cierpień szydzi,
Szydzi z zasadzek, które przyszłość stawia,
Kolcom urąga, co dłoń jéj kaleczą,
Tylko o jeden skarb swój się obawia,
By się pod obcą nie zatracił pieczą.
  A więc mu stawia szańce i okopy,
Gdzie się wąż cienką szyją nie prześliznie;
W drodze mu hojnie sieje kwiatów snopy,
Zaściela drogę marzeniem wygody;
Namiot w bogatéj oszyty bieliźnie
Roztacza przed nim, by się miał gdzie schronić,
Gdy przyjdzie skwary słoneczne odgonić,
Zażegnać burze i ominąć szkody,
A po rozbiciu spocząć na mieliźnie.
Port — jako pałac z złota i bursztynu,
Który stawiają opowiastki gminu
Dla matek, do snu tulących swe dziecię;
Drogę do portu z róży i jaśminu —
To wszystko w matki marzeniach znajdziecie.
  Dziwne jéj myśli, dziwna jéj ułuda,
Skoro w twarz dziecka patrzy rzewném okiem;
Widzi w niéj światy, harmonje i cuda!
Widzi w niéj gwiazdy lśniące pod obłokiem,
Widzi nagrodę łez gorżkich topieli,
Wszystkich złorzeczeń, których zapomina;
Cały raj, którym cieszą się anieli,
Ma w oczach córki, widzi w oczach syna.
Jam w dzieciach moich świat cały widziała!

VI.

Pamiętam — chwila to była jak w niebie;
Dziewczyna marząc w gwiazdy spoglądała,
A Stasiek wsparłszy twarz w młodzieńczéj dłoni,
Mówił jéj długo o serca potrzebie,
Serca, gdy ziemskie rachuby odgoni.
Mnie nie widzieli, bom ukryta w cieniu,
Myślą wtórzyła tylko ich marzeniu.
  „Wiesz siostro, wkrótce skończę me nauki,
Potém mi cały świat stanie otwarty;
Przed okiem — wiedzy rozłożone karty,
Przed okiem — głębie odsłonione sztuki,
Przed okiem — cała w uśmiechu przyroda,
Otwarte wszystkie przejścia i granice,
Odkryte wszystkie mgły i tajemnice!
Staną przedemną w najpełniejszéj krasie,
Wdzięcząc się jako młode zalotnice
I rzekną razem: — Gdy człowiek ten zna się
Na całéj naszéj potęgi uroku,
Gdy w twarzy jego tli nasza uroda,
Gdy ogień wielki błyszczy w jego oku,
Jeden z tych ogni niewygasłych Znicza,
Gdy w czole jego jaśnieje powaga,
A w wszystkich rysach młodego oblicza,
Prawda stężała surowa i naga,
Naga w szczerości swojéj i prostocie;
Więc płaszcz skąpany w purpurze i złocie
Na jego młode zarzućmy ramiona
I niech króluje! niech u jego łona
Monarszéj chwały tli wstęga czerwona!
I niech mu wszystkie otworzą się wrota,
Niech się otworzą tajemne podziemia
I niech króluje gdzie niebo, gdzie ziemia,
A godłem jego niech będzie — prostota!
  Znam ja ten wyraz; w cichéj naszéj chacie,
W naszym ogródku, na grzędach lewkonji,
W matczynym wzroku, w twéj dziewiczéj szacie,
I w spracowanéj ojca mego dłoni,
Zewsząd mi świeci to miano — prostoty!
  Nawet — gdy okiem wyjrzę za opłoty
Domowéj strzechy, na szerokie łany,
Na wzgórza, piersią żelaza rozprute,
Na cichych wiosek dach polski, słomiany,
Na rzędy mogił posianych kwiatami,
Na lasy, wstęgą przed okiem rozsnute,
Rzeki modremi patrzące falami,
Zewsząd uderza taż sama — prostota!
  Toż widzisz siostro, przyszła mi ochota
Me wszystkie prace taką zdobić cechą,
Pod taki sztandar stanąć w walkach życia,
Jaki królował pod rodzinną strzechą,
Jaki kierował sercem od powicia.
Z nim ja pogonię na przyszłości fale,
Z nim się zagłębię w nurtach kołysany;
A czy prąd życia mojego wezbrany,
W burzach przyszłości zgubię, czy ocalę;
Czy złą, czy dobrą dola moja będzie,
Zawsze taż sama myśl w niéj pozostanie,
Myśl na rodzinnéj wychowana grzędzie,
Na swojskiéj roli, na swojskim łanie.
  A gdy zobaczą ludzie obcéj doli,
Że w moich pieśniach i w każdym mym czynie
Z tego, co cieszy, i z tego co boli,
Zawsze taż sama nuta się rozwinie;
To może wtedy zwrócą się ich oczy
W stronę, zkąd wieje taka cisza smętna,
Na naszą dolę sierocą pamiętna —
I może wtedy duch ludów proroczy
Patrząc wraz zemną w moje gaje mszyste,
Niebo pomgliste, i łany barwiste,
Może się z duchem pól moich zjednoczy!
I może wtedy... Siostro! czy ja marzę?
Lecz mi się zdaje że te smętne twarze,
Ta woń z szerokich pól moich płynąca,
Ta niska strzecha, ten promień miesiąca,
Te brzóz warkocze, że one mi każą

Iść w one strony dalekie a bliźnie
I opowiadać w nich czynem i twarzą,
O swojéj doli, o swojéj ojczyźnie!
I że ja wtedy dopiero szczęśliwy,
Z pieśnią jak rycerz, co w ręku miecz trzyma,
Dotrę na przebój do serca olbrzyma,
Co się zwie światem! Siostro! jam szczęśliwy
Takiém marzeniem; zamarz ty wraz ze mną!
Przed tobą stoi także sama droga,
Jedną masz dolę, a duszę wzajemną,
Myśl twoja w kwiaty uczuć nie uboga,
Możesz tak samo zamarzyć wraz ze mną.
I tobie trzeba z sercem, a w prostocie
Obiegać ludzi i swojską zagrodę;
A czy w niedoli, w szczęściu, czy w kłopocie.
Trzeba ci w sercu twém nosić swobodę.
I z tą prostotą i ku téj swobodzie,
Biedz po téj ścieżce przez Boga wytkniętéj;
Szczepić swe czyny na téj drodze świętéj,
Kwiat marzeń puszczać po téj saméj wodzie.
A skoro brat twój w kraj inny odbieży,
Gdzie tobie dążyć twoja dola wzbroni,
To — gdy twe serce tęsknotą uderzy,
Gdy się rozwinie uścisk twojéj dłoni,
Ja go przeczuję i zbiegnę myślami
Do staréj chaty, pod sadzone grzędy
Róży, stokroci, jaśminu, lewendy.
I tak się złejem wspólnie marzeniami,
Tak się z sercami waszemi rozpieszczę,
Że dusza w chacie pozostanie jeszcze,
Choć ciało będzie daleko przed wami.
Ty płaczesz Doniu? Daj mi twoją rękę,
By mi ten zapał gorący, a szczery,
Nie ziąbł w ujęciu obojętnéj dłoni!
Dłoń ludzka — ludzi wskazuje na mękę,
Kreśli po sercach mordercze litery;
Dłoń ludzka — ludzi od szczęścia odgoni —
Nie miéj ty siostro nigdy takiéj dłoni!
Niech dłoń twa będzie miękka i pieszczona;
Nie miękka puchem, który praca zwieje,
Lecz ciepła myślą co płynie od łona,
Miękka objęściem, serdeczna, pieszczona!
Choć ci łza skrzepnie, myśl zlodowacieje,
Mróz serce zwarzy, duszę śnieg popruszy,
Chociaż ci w bólach stwardnie siła duszy,
Nie miéj ty siostro nigdy twardéj dłoni!
Bo raz dotknięciem twojém urażona,
Może dłoń obca dobrego człowieka,
Niedawno chętna, serdeczna, pieszczona,
Uciekać będzie przed objęciem ludzi
Jak ptak, co chętnie w kraj obcy pogoni,
Kędy mu zimno gniazda nie wystudzi!
Nie miéj ty siostro nigdy zimnéj dłoni!“

Tak mówił Stasiek, twarz rumieńcem zlewał.
Dziewczę słuchało, a jam się modliła!
Żaden ptak wiosny tak nigdy nie śpiewał,
Ni żadna zorza takiemi nie biła
Promieńmi, jakie płynęły z téj zorzy
Słów mego syna! Gdy się myśl otworzy
Ludzka — i wszystkie swe tajnie rozświeci,
To cichną w okół wszystkie głosy ziemi.
Ni sokół lotem swoim nie doleci,
Ani kwiat wonią swoją nie dopłynie,
Gdzie doszedł człowiek marzeniami swemi.
Jam niebo marzeń widziała w mém życiu!

Westchnęłam — serce mi silnie zabiło,
Za mną się drugie ozwało westchnienie;
A wraz z tém echem, co w pierś uderzyło,
Poczułam szorstkiéj dłoni uderzenie.
Były to męża: uścisk i westchnienie.
Stał biedny człowiek — a w zoranéj twarzy
Najczarniejszego ze wszystkich węglarzy,
Takie błysnęło szczęście i uroda,
Żem doń sięgnęła wolną ręką prawą
I zapytałam radośnie a łzawo:
— Prawda, że naszych pieniędzy nie szkoda?
— Nie szkoda! odrzekł ciszéj jak w zwyczaju;
A jakby czynem chciał popierać słowo,
Wziął topór w rękę i poszedł do gaju,
Dla szczęścia dzieci pracować na nowo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnicza szkatułka.

Powieść osnuta na prawdziwém zdarzeniu

przez

E. z Kurowskich Puffke.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Lubo mniemana zbrodnia popełnioną była w Wiedniu, a zatém śledztwo tamże się powinno było właściwie odbywać, zachodziły przecież przyczyny, dla których całą tę sprawę przeniesiono do F... i oddano ją tamtejszemu sądownictwu, którego dyrektorem był zarazem pan dyrektor policji Strauss. Ten stan anormalny, że sądownictwo i policja jednego i tego samego miały dyrektora, pochodził ztąd, że miasteczko to, będące środkowym punktem obwodu sądowniczego, było zarazem bardzo odwiedzaném miejscem kąpielni i miało niezależne od rządu własne sądownictwo.

Posiedziciel hotelu w Wiedniu, w którym umarła hrabina Karolina Rikoczy, wkrótce po tém zdarzeniu sprzedał był swoją tamtejszą posiadłość i okupił się w pobliżu T... Tego więc najprzód zawezwano na świadka.

Był to człowiek dość wykształcony, z wyrazem twarzy inteligentnym i szczerym.

Pan dyrektor tak rozpoczął badanie:

— Pan miałeś wówczas ów hotel pod „Królem węgierskim“, gdy przeszłego lata stanął w nim hrabia Rikoczy?

— Tak, panie dyrektorze.

— Czy pan znałeś już dawniéj hrabiego?

— Nie, hrabia był mi zupełnie obcym.

— Opowiedz pan szczegółowo jak to wszystko było.

— Pod wieczór na początku lipca przeszłego roku, daty nie pamiętam, lecz można ją znaleźć w księdze przybywających gości do hotelu pod „Królem węgierskim“, zajechał w dorożce hrabia Rikoczy z żoną przed nasz hotel i zażądał dwóch przyległych pokoi. Mówił, że żona jego jest trochę cierpiąca i życzy sobie pokoju zupełnie spokojnego. Przeznaczyliśmy więc temu państwu dwa pokoje na pierwszém piętrze, których okna wychodziły na podwórze.

— Czy nie uderzyło pana nic w postępowaniu hrabiego lub hrabiny? Gospodarz hotelu, który ma ciągle

do czynienia z obcemi, ma pod tym względem bystrzejsze oko od innych.

— Nie zauważałem nic dziwnego u tego państwa, rzekł oberzysta po chwili namysłu. Pani wyglądała znużona i cierpiąca, pan ponuro i smutnie, dla żony był jednakże dość uprzejmy, pomógł jéj wysieść z pojazdu i wprowadził ją po schodach na górę.

— Czy które z nich wyszło jeszcze tego dnia na miasto?

— Nie panie, kazali sobie przynieść dwie osobne porcje kawy i kelner powiadał że wypili ją, każdy w swoim pokoju. W dwie godziny po przybyciu zeszedł hrabia w świeżym ubiorze na salę jadalną i żądał co do jedzenia. Zapytany czy życzy sobie także nakrycia dla żony, odpowiedział, że żona jego jest bardzo znużona podróżą i chce się cokolwiek przespać, ale może późniéj życzyć sobie będzie herbaty. Hrabia jadł smaczno, potém zapalił cygaro i czytał gazety. To trwało może ze dwie godziny, potém poszedł na górę do swoich pokoi. Ale nagle zadzwonił gwałtownie.

— Moja żona zachorowała, biegnijcie spieszno po doktora! zawołał na wchodzącego kelnera.

Właśnie wtenczas była wybuchła cholera w Wiedniu i wszyscy doktorzy byli zajęci. Wysłany kelner nie mógł zastać żadnego doktora w domu. Biegał od jednego do drugiego. Hrabiemu dłużyło się, zeszedł do mego bióra, prosił o księgę adresów, szukał w niéj przez chwilę i potém prosił mnie, abym posłał po doktora Kolaczek, który tu najbliżéj mieszka, dodał. Pobiegłem sam do niego i zastałem go przypadkiem w domu. On znał już hrabiego i pospieszył ze mną do hotelu.

— Pan mówisz, że doktor Kolaczek był „przypadkowo“ w domu? odezwał się teraz pan dyrektor. — Z czego to pan wnosisz?

— Z czego to wnoszę? powtórzył oberzysta z uśmiechem. No bo był właśnie w domu.

— Przez to nie objaśnia się jeszcze to „przypadkowo.“

— Młody doktor Kolaczek nie miał wówczas jeszcze wielkiéj praktyki. Nie był więc w czasie cholery tak bardzo zajęty jak inni lekarze.

— Ale czy hrabia nie posyłał już pierwéj do niego z oznajmieniem swego przybycia?

— Z moich ludzi nie posyłał hrabia żadnego. Nie widziano także nikogo obcego wchodzącego lub wychodzącego od niego; i on sam nie oddalił się wówczas ani na chwilę z hotelu.

— Wiesz to pan z pewnością?

— Wiem, bo odźwierny, któryby to widzieć musiał, zapewniał mnie wtenczas, że hrabia nie zeszedł na dół ani razu.

— Dla czego pytałeś się pan odźwiernego o to?

— Bo miałem nieprzyjemności z przywołanemi lekarzami. Mój kelner przyprowadził dwóch; trzech innych, u których był pierwéj, przybyli późniéj i odeszli urażeni słysząc, że już jest jakiś młody lekarz u choréj pani i oni daremnie się trudzili. Dla tego wypytywałem się odźwiernego o wszystkie szczegóły, bo chciałem wiedzieć, czy mój kelner sam był winien tym nieporozumieniom, lub czy hrabia bez mojéj wiedzy posyłał także po doktorów.

Teraz zdawało się jakby te objaśnienia zadowoliły dyrektora. Doktor Kolaczek był zapewne uwiadomiony naprzód listownie, że w owym dniu i o téj godzinie ma czekać w domu, pomyślał dyrektor, któremu coraz się widoczniejszém zdawało, że Kolaczek dopomógł hrabiemu do otrucia żony i że ręka bogatéj hrabianki miała być jego nagrodą.

— Opowiadaj pan daléj, rzekł do oberżysty po chwili milczenia.

— Doktor Kolaczek zapisał lekarstwo i kazał robić ciepłe okładania.

— A gdzie są recepty?

— Lekarstwo było robione w aptece pod Lwem, najbliższéj hotelu. Z panią musiało być bardzo źle, bo doktor nie schodził wcale na dół. Ja sam zląkłem się nie mało, bo po ciepłych okładaniach domyśliłem się natychmiast, że chora ma cholerę. Było mi nader niemiło, że ta zaraza dostała się do mego domu, poszedłem przecież na górę, aby się przekonać. Pan hrabia zaprowadził mnie sam do choréj i wkrótce przekonałem się naocznie, że moja obawa płonną nie była. Hrabia prosił mnie, abym pozostał przez chwilę przy jego żonie, bo chce się rozmówić w przyległym pokoju z lekarzem. Obaj panowie wyszli ze sobą, ja pozostałem sam przy choréj.

Oberzysta zatrzymał się na chwilę, jakby chciał zebrać myśli i przywołać wszystkie wspomnienia, czując, że tutaj stanął przy główném zajściu tego smutnego dramatu.

— Nie zapomnę w życiu tego co teraz nastąpiło, rzekł po chwili namysłu. Zbliżyłem się po cichu do łóżka choréj, tak, że mógłem widzieć jéj ku mnie zwrócone oblicze. Jak okropnie było zmienione! policzki zapadłe, nos kończaty, oczy błoną zaszłe, włosy jakby spłowiałe. Nagle podniosła się na pościeli, patrzała na mnie przez chwilę i rzekła grobowym głosem:

— Pan jesteś gospodarzem tego hotelu?

Ja skinąłem twierdząco głową.

— Czy chciałbyś pan uczynić mi przysługę? — zapytała.

— Bardzo chętnie, jaśnie pani, odpowiedziałem.

— Ale żebym się tylko mogła spuścić na to?

— Daję pani słowo honoru, odpowiedziałem, że wypełnię jak najściśléj wszystkie jéj życzenia.

Ona spojrzała na mnie z wdzięcznością.

— Tam w téj najwyższéj szufladce w biórku znajdziesz pan pakiecik a przy nim adres. Oddaj pan natychmiast ten pakiecik i adres na pocztę. Ale to musi stać się koniecznie jak najprędzéj... to są bardzo ważne papiery, które powinny dostać się do rąk mojéj przyjaciółki Rozalji A...

Zaledwie zdążyłem włożyć pakiecik i adres do kieszeni, kiedy hrabia z doktorem weszli do pokoju.

— Czy hrabia widział, że pan kładłeś pakiecik do kieszeni?

— Nie, on nie zważał bynajmniéj na mnie. Usiadł zaraz przy łóżku żony, uchwycił jéj rękę i starał się ją pocieszać.

— A jak to przyjmowała chora?

— Ile mogłem zauważać, uśmiechała się do niego boleśnie i wyrzekła słabym głosem:

— Jestem na wszystko gotową.

Ja poszedłem zaraz na pocztę z pakiecikiem. Oddałem go i wracając, załatwiłem jeszcze kilka interesów. To trwało dość długo. Wróciwszy spotkałem w sieni doktora Fridego. Znając go dobrze i domyślając się, że był u choréj, zapytałem go jakby z nią było.

Tride odpowiedział kiwając głową:

— Doktor Kolaczek żądał mojéj pomocy, ale widzę, że tu już nie ma żadnego ratunku.

— Jakto! zawołałem.

— Ona już kona, rzekł doktor.

Zapytałem się jeszcze doktora, coby to była za choroba. — Jest to, podług mego zdania, odpowiedział doktor, gwałtowne zapalenie kiszek, ale nie dowiadywałem się początków téj choroby, dodał doktor wzruszając znacząco głową.

— Podług mniemania doktora Kolaczek, hrabina ma cholerę, rzekłem zaciekawiony.

— Tak samo jak ja ją mam w téj chwili, rzekł starzec z ironicznym uśmiechem i z miną, która wyra-

żała jakieś podejrzenie, jak mi się to dopiero późniéj wyjaśniło.

— Czy nie badałeś pan więcéj doktora Fridego? zapytał dyrektor.

— Nie, stary doktor spieszył do chorych. I wtenczas nie domyślałem się bynajmniéj co on przez to rozumiał.

— Co za szkoda! rzekł dyrektor. I jakie nieszczęście, że wkrótce potém umarł ten doktor, zaraziwszy się cholerą. Czy pan widziałeś jeczcze raz hrabinę przed śmiercią?

— Nie; nie lubię patrzeć na konających. Świadectwo pocztowe na ów pakiecik, zachowałem w mojém biórku i w razie potrzeby mogę je okazać.

— Kiedyż skończyła hrabina?

— Może w godzinę po mojém spotkaniu się z doktorem Fride, doktor Kolaczek zeszedł do sali gościnnéj i oświadczył mi w krótkich słowach, że hrabina Rikoczy umarła.

— A co robił hrabia?

— Był smutny lecz spokojny.

— Czy pan możesz zaprzysiądz te zeznania?

Świadek powiedział, że jak najchętniéj przysięże, i tém zakończyło się pierwsze posłuchanie.

Pan dyrektor, który nader gorliwie zajmował się tą sprawą, przystąpił teraz do urzędowego badania doktora Kolaczka.

Gdy tenże ukazał się w sali posłuchania z postawą pełną godności i spokoju, dyrektor uczuł się nieco zmięszany. Pochylił się nad biórkiem i udawał, że pisze z wielkiém zajęciem.

— Jestem gotów, panie dyrektorze, złożyć zeznania, które odemnie sąd prześwietny wymaga, odezwał się młody doktor tonem zupełnego spokoju.

Dyrektor podniósł głowę, poprawił na nosie złote okulary, spozierając z ukosa na młodego lekarza, jakby go dopiero zobaczył.

— Proszę mów pan najpierw, gdzie zapoznałeś się z rodziną hrabiego Rikoczy, rzekł po chwili milczenia.

— Hrabiego Rikoczy i jego zmarłą małżonkę widywałem w Pradze u siostry tegoż, pani M... u któréj wychowywała się panna Łucja Rikoczy, odpowiedział spokojnie doktor. Praga jest mojém miastem rodzinném, mój ojciec był tam dyrektorem sądu.

— Czy pan wiedziałeś, że hrabia z swą żoną Karoliną przybędzie do Wiednia w lipcu zeszłego roku? przerwał mu dyrektor.

— Nie, dowiedziałem się o tém dopiero w chwili, gdy mnie oberżysta Walmajer powołał do choréj hrabiny.

— Jak ją pan znalazłeś?

— Śmiertelnie chorą, nogi i ręce były zlodowaciałe, miała gwałtowne womity i bicie serca, i skarżyła się na okropne boleści w całém ciele

— Czy hrabina nie wspominała nic o przyczynie choroby?

— Nic, ale słyszałem często w Pradze u krewnych hrabiego, że była skłonną do cierpień gastrycznych. To wprowadziło mnie na myśl, w połączeniu z symptomami jéj teraźniejszéj choroby, że uległa wpływowi straszliwéj zarazy, która się wówczas szerzyła w Wiedniu, i podług tego rozporządziłem środki leczenia. Niestety okazały się one bezskutecznemi. Choroba wzmagała się z zastraszającą szybkością, prosiłem więc hrabiego, ażeby przybrał drugiego lekarza. Posłano po radzcę Fridego, który przybywszy, zastał nieszczęśliwą hrabinę w konaniu.

Doktor Kołaczek umilkł i zdawał się być pogrążony przez chwilę w przykrém dumaniu.

— Czy hrabina Rikoczy czuła zbliżającą się śmierć?

— Niebezpieczny jéj stan trudno było ukrywać przed nią, radziłem jéj nawet, by się przygotowała św. sakramentami na drogę wieczności; hrabina przystała chętnie na to, posłaliśmy więc natychmiast po księdza, lecz gdy tenże przybył, hrabina już nie żyła.

— Czy nie uważałeś pan, jaką była hrabina w przeciągu choroby dla męża? Czy nie okazywała wstrętu lub nieufności dla niego?

— Bynajmniéj, odrzekł doktor. Owszém okazywała mu wielką czułość i starała się go pocieszać.

— I pan wystawiłeś potém świadectwo, jako hrabina umarła na cholerę, na mocy którego pochowano ją na cmętarz?

— Nie miałem najmniejszéj przyczyny domyśliwania czego innego, odpowiedział spokojnie doktor. Wszystkie symptomata choroby były takie same jak u cholery.

— Lecz tylko dla powierzchownych spotrzegaczy, odrzekł surowo dyrektor.

To powiedziawszy wstał, zadzwonił i zapytał wchodzącego służącego, czy pan konsyljarz Krüger już przybył. Odebrawszy odpowiedź, że pan konsyljarz czeka w gabinecie dyrektora, kazał poprosić go do sali posłuchania.

Młody lekarz był widocznie zdumiony i przechodził się niespokojnie po sali.

Lecz wypada nam tu nadmienić pierwéj słów kilka.

Powiedzieliśmy już o wykopaniu ciała hrabiny Karoliny. Jest to straszliwa konieczność, gdy w grobach trzeba odszukiwać tajemnic; lecz wiedza doszła w naszych czasach do tak wysokiego stopnia doskonałości, iż nawet od tych niemych świadków objaśnienia otrzymać potrafi.

Gdy otworzono hermetycznie zamkniętą trumnę, znaleziono ciało hrabiny Rikoczy jeszcze tak zakonserwowane, iż można było podjąć się sekcji, a z téj okazało się, iż nieszczęśliwa kobieta w kwiecie życia i siły zatrutą została, podług wszelkiego podobieństwa trucizną zwaną naparsztnicą (digitatis). Nadmienić nam znów potrzeba, że aż do ośmnastego stulecia były u sądu trzy tylko rodzaje trucizny przyjęte, to jest rdęt, kwas arszenikowy i miedź. Lecz od czasu kiedy chemja nauczyła się rozpoznawać nawet w ciałach dawno umarłych te trucizny, stały się one dla złoczyńców używających je do swych zbrodniczych celów nader niebezpiecznemi. Odkryto więc inne trucizny, wydobywane z roślin, z których nie można poznać ani śladu w ciałach zwierzęcych. Do tych należy także naparsztnica. Jest to biaława masa, w wodzie łatwo się rozpuszczająca, wyciągana z rośliny zwanéj u nas naparsztnica. Gdy się maleńką cząstkę téj trucizny przyłoży do oka zwierzęcego, wtenczas rozszerza się pupila bardzo znacznie. Jest to najłatwiejszy sposób rozeznania téj trucizny.

Z tego widzimy, że tylko przez wnioski fizjologijne można było dojść do pewnego twierdzenia, że hrabina Rikoczy umarła była w skutek choroby takiéj saméj, jaką sprowadza użycie naparsztnicy.

Pan konsyljarz Krüger wszedł do sali posłuchania. Był to człowiek w sile wieku, pięknéj postawy, rysów twarzy nader inteligentnych. W ręku trzymał mały kryształowy słoik i zwój papierów.

Powitawszy się z dyrektorem, utopił badawcze spojrzenie w twarzy młodego kolegi, który wpół jako świadek, wpół jako podejrzany o wspólnictwo zbrodni, był co dopiero przesłuchany. W tym wzroku długim i znaczącym leżało wyraźne pytanie: Czyś ty winny czy oszukany?

Najpierw przeczytano konsyljarzowi zeznania świadków, które wysłuchał z wielką uwagą.

— Teraz panie konsyljarzu, rzekł dyrektor po odczytaniu protokółu, racz pan uczynić świadkowi krótkie sprawozdanie z swego odkrycia i z twoich ztąd wniosków. Zapytamy go potém czy ma przeciw temu co do nadmienienia.

— Bardzo chętnie, panie dyrektorze, rzekł pan konsyljarz stawiając na stół słoik.

— Tę truciznę znaleziono przy rewizji w domu hrabiego Rikoczy, rzekł dyrektor do doktora Kolaczek.

To zdawało się być zupełnie niespodziewaném młodemu lekarzowi, bo spozierał w największém podziwieniu na stojący na stole słoik.

— Hrabia Rikoczy postarał się więc sam o to, abyśmy nie mieli żadnych wątpliwości względem rodzaju trucizny, rzekł konsyljarz Krüger z lekkim ironicznym uśmiechem. Podług symptomów, wśród których umarła hrabina Rikoczy, domyślałem się, że była otrutą ekstraktem naparsztnicy; jednakże chcąc być zapewnionym, jakie działanie płyn znajdujący się w tym słoiku wywierać będzie na ciało organiczne, dałem z téj trucizny kilka kropli psu, którego żołądek najpodobniejszy jest do ludzkiego, i otóż zakończył życie po krótkich cierpieniach, zupełnie takich, jak pan Kolaczek i zmarły doktor Fride je u pani hrabiny Rikoczy widzieli. Nie chciałem poświęcić na te doświadczenia wiele zwierząt, ale kilka jeszcze przypadków przekonało mnie, że ta trucizna, znaleziona pomiędzy rzeczami hrabiego, jest ekstrakt naparsztnicy, i że hrabina Karolina Rikoczy otrutą została przez swego męża tą trucizną.

Doktor Kolaczek stał blady i osłupiony z przerażenia; jego usta poruszały się nerwowém drżeniem, a oczy wyrażały przestrach i rozpacz. Obaj panowie spoglądali nań uważnie, na twarzy konsyljarza widać było wyraz współczucia.

Dyrektor pierwszy odezwał się po krótkiéj chwili ogólnego milczenia:

— Na etykiecie flaszeczki jest obok napisu „trucizna“ podane także, że jest jéj pół uncji. Tutaj znajduje się tylko jeszcze połowa téjże. Gdzie jest reszta, gdzie jest jedna czwarta część uncji? I to jest dość jasnym dowodem, że hrabina umarła w skutek téj trucizny.

— Zapewne, dodał konsyljarz. Brakująca tu część naparsztnicy jest zupełnie wystarczającą do uśmiercenia człowieka. Gdy się zapisuje w niektórych chorobach naparsztnicę, co wszakże bardzo rzadko się zdarza, to tylko w tak małéj ilości, że na jedną pigułkę przychodzi ledwo jedna setna część uncji.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Świadectwa służbowe obywatelom.

W przewrocie zasad moralnych, czyli lepiéj w okolicznościach panującéj u nas niemoralności, prawić o moralności — jest to gadać o żelaznym wilku!...

W poznańskiéj pseudo-inteligencji warstwach, nadgniłych bardzo sobkostwem, — wartoby zabijać starych ludzi, bo nie są zdatni do roboty. — P. Łyskowski z p. Fajansem z pogardą odrzucali najpoczciwszych ludzi w sile wieku jeszcze, n. p. pana Leworskiego, jarego męża i zasłużonego krajowi — bo był w 56 roku życia — za stary! a my potrzebujemy tylko młodych!!... I napełnili banki toruński i poznański — dzieciakami. P. Łyskowskiego świadectwo n. p. wydane takiemu młodemu, jego ideałowi, Plewkiewiczowi spowodowało samobójstwo zacnego Małeckiego, bankructwo banku tegoż i t. d. P. Plewkiewicz długo był ideałem tych panów, — prokurystą banku Kwilecki, Potocki i Spółka, którego autokratą był wówczas p. Mieczysław Łyskowski jako dyrektor, i równocześnie firmowym banku toruńskiego: Donimirski, Łyskowski i Kalkstein.

Bliźnia ta gwiazda, panowie Fajans - Łyskowski, miała i ma do dziś jeszcze w Poznańskiém, a mianowicie w Prusach Zachodnich, u rólników bawiących się w bankierstwo — niezachwianą wiarę; bo na ich podziw z chudopachołków stali się ci siamscy bracia finansowi przez szczęście i za pomocą ich grosiwa — bogaczami!!

Zasadą p. Fajansa, mistrza téj bankowo-finansowéj pary, było: „Banki nie są dla wspomagania, ale owszém dla zubożenia wioskowéj szlachty, bo ta bruździ tylko małemi interesami i przeszkadza używaniu wielkich sum do spekulacji.“ — Ztąd też, n. p. gdy drobna szlachta z Kujaw, zażądała rzepiu do siewu od agencji banku toruńskiego w Nakle, — a p. Radkiewicz major zakupił go, jako komisyjny urzędnik banku, — rozkazała dyrekcja banku toruńskiego to zboże komisowo kupione sprzedawać komitentom po dwa talary wyżéj zakupu. O to p. Radkiewicz (ojciec) przeprowadził dość niemiłą korespondencję z dyrekcją, — a agent banku tego (wówczas p. Józef Tur) miał z polecającymi zakup — wiele nieprzyjemności.

Ten jeden przykład niechaj posłuży jako ilustracja do znajomości fachu bankierskiego i szlachetności panów z dyrekcji, — pomiędzy którymi figurują nazwiska zacnych i godnych szacunku ludzi jako obywateli, — i którym najniezawodniéj ani przez myśl nie przeszło, że takie operacje karze prawo handlowe, — a w naszém niebankierskiém pojęciu, ale pojęciu obywatelskiém, takie czyny nazywają się: nieuczciwe, — bo to i w handlu nazywa się szachrajstwem.

Jak w Tellusie Ignacy hr. Biniński i Tadeusz Chłapowski dali swe imiona i swe kapitały dla wyjednania w publiczności kredytu, a zupełnie zaufali p. Stanisławowi hr. Plater, tak też i firmowi banku toruńskiego, pp. Donimirski i Kalkstein, — a w banku poznańskim pp. Mieczysław hr. Kwilecki i Bolesław Potocki zaufali zupełnie p. Mieczysławowi Łyskowskiemu, — a ten działał ze swą połową, — swym nauczycielem i ideałem bankierskim, — choć ten ostatni zna się tylko znakomicie na — szacherce. Dla tego to bynajmniéj nie zaczepiamy żadnego z tych mężów-ofiar, — ale zaczepiamy p. Łyskowskiego Mieczysława, jako: albo szachrajstwa tolerującego, albo popełniającego takowe zgodnie z panem prokurystą Fajansem. — Komu słowa nasze w téj mierze zdadzą się za ostre, ten niech poszuka w „Contorwissenschaft“ v. Aug. Schiebe i Dr. Odermann, 6te Aufl., Leipzig 1865, I. M. Gebhardt's, § 38 i 39 (str. 109, 110 i 111).

Gdyby p. ex-sędzia wcale nie uczył się prawa, — toby go to jako bankiera jeszcze nie obroniło, bo bankier znać musi i prawo odnośne i bieg uczciwy interesów.

Co mamy sądzić tedy o świadectwie służbowém obywatelskiém, wystawioném p. Łyskowskiemu Mieczysławowi przez Radę Nadzorczą banku toruńskiego, w obec tego, cośmy powyżéj przytoczyli o komisie zakupu rzepiu? — To wiemy... Ależ tam są trzy nazwiska które nam ciężą, — ogromnie nam ciężą na szali naszego zwycięztwa, — jak nam cięży i nazwisko Dr. Milewskiego pod świadectwem wystawioném Dr. Szafarkiewiczowi, zbyt znanemu obywatelowi.

Jest to owa „zdrowa krew“, o któréj mówiliśmy w Nr. 29, — i nad nią to ubolewaliśmy znowu w Nr. 31 przeczuciowo, bo gdy drukowano nasz ostatni

numer, wyczytaliśmy następne świadectwo służbowe, wystawione p. Łyskowskiemu Mieczysławowi, obywatelowi zanadto znanemu:

„W Toruniu odbyło się dnia 29 z. m. w lokalu bankowym posiedzenie Rady Nadzorczéj banku „Donimirski, Kalkstein, Łyskowski i Sp.“ Zebrana Rada Nadzorcza przesłała p. Mieczysławowi Łyskowskiemu następujący list otwarty:

„Niżéj podpisana Rada Nadzorcza banku kredytowego „Donimirski, Kalkstein, Łyskowski i Spółka w Toruniu“, zebrana na zwykłém półroczném posiedzeniu, w dniu 29 lipca r. b., postanowiła w obec zarzutów czynionych Ci przez p. Wł. Chotomskiego w „Tygodniku Wielkopolskim“, znając od dawna Twój charakter i zasługi dla społeczeństwa, przesłać Ci, Szanowny Panie, publiczne oświadczenie, że uważa Cię za stojącego wyżéj czynionych Ci zarzutów.

Jan Arndt, Emil Czarliński, H. Jackowski, Franciszek Kobyliński, Adolf Koczorowski, Ignacy Łyskowski, Stanisław Radkiewicz, Ludwik Ślaski, Alfred Zawisza Czarny.“

Pan E. Czarliński i Stanisław Radkiewicz (syn) niech się jeszcze dobijają ostróg rycerskich obywatelstwa!... Drugich mało co albo wcale nie znamy; ale znamy i gorżko bolejemy nad podpisami w Prusach Zachodnich pierwszorzędnych gwiazd obywatelskich: Zawiszy i Ślaskiego, — i rówieśnika naszego, poczciwego, ale zbyt wrażliwego p. Adolfa Koczorowskiego.

Że „Gazeta Toruńska“, organ p. Łyskowskiego, i „Orędownik“, organ p. Dr. Szafarkiewicza, nas błotem obrzuca, — to nas nie zadziwia. To służby powinność, — a że wiernie służą — to chwalimy im!... Ale nie cieszy nas, że obywatele nader rozgłośni, panowie Łyskowski i Szafarkiewicz, wprowadzają nową modę w Poznańskiém i w Prusach. Dotąd obywatele wystawiali służbie tylko świadectwa poczciwości i dobrego prowadzenia się, — i to jest naturalném; bo ludzie znani, obywatele, świadczyli o nieznanych biedakach.

Darmo! — mimo ich prześlicznych świadectw, ja tych panów nie przyjmę do swéj służby, za drogoby mnie kosztowali, a zwłaszcza gdybym miał miljony!...

Co za szczęście że ich nie mam!!!

Więc ci panowie dziś już spadli tak nizko, że ażeby wierzyć w ich cześć, — żebrzą o świadectwa służby, jak nieznani biedacy!!..

Nibyto nie chcąc się bronić, pełzają u stóp swych równych, ażeby ci zaświadczyli o ich honorze!...

Za lepszych czasów wystarczało samo podejrzenie o kłamstwo, „bo kto łże, to i kradnie“, niosło przysłowie; sama wystarczała wątpliwość o czystém czyjemś sumieniu, ażeby rozkrawano nożami obrusy dla odgraniczenia się, — gdy taki zasiadł do stołu w uczciwym obywatelskim domu!

Dziś my, ich prawnuki, łamiemy noże tym, którzy za nie w tym celu chwytają!.. gdy to zagraża stojącym wysoko!... intrygą lub złotem!...

Wysoko szanujemy tych, co się bogacą jak Michał Levy, Seegal, Mamroth, Berger; bo ci ludzie własnym groszem, żelazną pracą, zdolnościami swemi bogacąc się, — zbogacają kraj i wiedzę, ich banki i przedsiębiorstwa oparte na nauce i doświadczeniu, trwają i rozwijają się. Co zrobił p. Łyskowski Mieczysław dla kraju? Obcym groszem założył dwa banki, w których się pobałamuciły dzieciuchy szalonemi płacami. Temi bankami zbogacił siebie i p. Fajansa; a lekkomyślnie, szarlatanując pozakładał: kasy pożyczkowe, garbarnie, młyny parowe itd., które ślimaczą się lub grożą upadkiem. Gdzieżbo zdrowy sens, ażeby nie ucząc się, tylko prawnictwa, i to nie tęgo, — ażeby tworzyć handlowe i przemysłowe instytucje à la Tyzenhaus sztucznie, nie dla nauki nawet, ale po prostu dla zysku, gdy tego rodzaju instytucje są wynikiem pokoleniowych prac, ludzi wyłącznie w tym kierunku z ojca na syna spadkobierczo, z planem pracujących. Mogąż być czém inném jeżeli nie klęską krajową, gdy bez ludzi fachowych, bez nauki, bez planu, — po kuglarsku, jednéj chwili są wyeskamotowane z kieszeni — obywateli. Toż póty było i jest tych arcydzieł p. ex-sędziego, — póki starczyło czy starczy grosza — obywatelom. Nie zazdrościmy mu jego majątku, — ale już go ma dosyć, — i niech się nie bawi bałamuceniem obywatelstwa! Niech synowie obywatelscy idą w naukę do przemysłowców, kupców i bankierów z p. Łyskowskim na czele, — a przyklaśniemy mu najpierwsi; bo bawić się w to — to za kosztowna i za krwawa dla łatwowiernych, dających na tę zabawkę dla p. ex-sędziego dzieciom i żonom odjęty od ust kawałek chleba!! Akcje banków pod jego bezpośrednią dyrekcją są tego jawnym dowodem, — i to w chwili, gdy upadły banki: Tellusa, Małeckiego, Provincialwexlerbank i jeszcze inny niemiecki. Cóż za smutny examin dla dyrekcji dwóch tych banków po upadku konkurencji bankowéj!... Jako najważniejszy ich dochód są komisowe dochody i zapewne wszystkie na przytoczony sposób komisu rzepiowego tak wyniesione!...

Żądano faktów — otóż jest tylko jeden.

Chcecie ich więcéj? — może z innéj beczki? — I owszém. Zapełnimy wam wszystkie 8 stron niemi przez całe lata!.. i to jako artykuły czysto naukowe dla chcących się uczyć — rozumu!...

Ach prawda — Łyskowski!.. „Szanowny Panie... uważamy Cię za stojącego wyżéj czynionych Ci zarzutów!!!

Ten głos nas krwawi!...

Prawda! — bo jeszcze Opinja publiczna nie zawyrokowała, a dziś moralność ewangelji — to głupstwo!... Dziś panuje cześć sądowa!... wystarcza!... Dziś tylko na workach złota, na sile szalbierstwa, na sile intrygi i podstępu stoi się — wysoko!...

Panowie: Milewski, Alfredzie Zawiszo Czarny, Ślaski i t. p. Tak! Wasze podpisy rozumiemy! Macie słuszność! Nad moim grobem — potomność powtórzy w powyższym sensie o mnie Wasze słowa:

„On stał wówczas za nizko!“

Wł. hr. Chotomski.

Jak najuprzejmiéj upraszamy licznych nie uiszczających się ze zaległości (mianowicie od 1872 i 1873 r.) abonentów:

o łaskawe przesłanie pod naszym lub drukarni p. L. Merzbacha adresem — należytości za „Tygodnik Wielkopolski.“

Nie chcemy ani przypominać listownie, a tém mniéj ściągać pocztowemi zaliczkami tylu drobnych a licznych sumek. Gdyby komu za uciążliwém było na raz zapłacić po kilka talarów lub florenów, upraszamy chociażby o częściową upłatę znaczkami pocztowemi we frankowanym liście. Przepraszamy za to upominanie się, lecz każdonumerowe koszta 25 tal. gotówką zniewalają nas do tego kroku.

Redakcja.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Władysław hr. Chotomski. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Jedyny skład w Poznaniu w księgarni K. Rejznera (Chotomski).